

**BOLESŁAW
PRUS**
Lalka
**WSTĘPEM OPATRZYŁ
RYSZARD KOZIOŁEK**

MARGINESY

IV

Powrót

Jest niedziela, szkaradny dzień marcowy; zbliża się południe, lecz ulice Warszawy są prawie puste. Ludzie nie wychodzą z domów albo kryją się w bramach, albo skuleni uciekają przed siekącym ich deszczem i śniegiem. Prawie nie słychać turkotu dorożek, gdyż dorożki stoją. Dorożkarze, opuściwszy kozioł, wchodzą pod budy swoich powozów, a zmoczone deszczem i zasypane śniegiem konie wyglądają tak, jakby pragnęły schować się pod dyszel i nakryć własnymi uszami.

Pomimo, a może z powodu tak brzydkiego czasu pan Ignacy siedzący w swoim zakratowanym pokoju jest bardzo wesół. Interesa sklepowe idą wybornie, wystawa w oknach na przyszły tydzień już ułożona, a nade wszystko – lada dzień ma powrócić Wokulski. Nareszcie pan Ignacy zda komuś rachunki i ciężar kierowania sklepem, najdalej zaś za dwa miesiące wyjedzie sobie na wakacje. Po dwudziestu pięciu latach pracy – i jeszcze jakiej! – należy mu się ten wypoczynek. Będzie rozmyślał tylko o polityce, będzie chodził, będzie biegał i skakał po polach i lasach, będzie świstał, a nawet śpiewał jak za młodu. Gdyby nie te bóle reumatyczne, które zresztą na wsi ustąpią...

Więc choć deszcz ze śniegiem bije w zakratowane okna, choć pada tak gęsto, że w pokoju jest mrok, pan Ignacy ma wiosenny humor. Wydobywa spod łóżka gitarę, dostraja ją i wzięwszy kilka akordów, zaczyna śpiewać przez nos pieśń bardzo romantyczną:

Wiosna się budzi w całej naturze
Witana rzewnym słowików pieniem;
W zielonym gaju, ponad strumieniem,
Kwitną prześliczne dwie róże.

Czarowne te dźwięki budzą śpiącego na kanapie pudła, który poczyną przypatrywać się jedynym okiem swemu panu. Dźwięki te robią więcej, gdyż wywołują na podwórzu jakiś ogromny cień, który staje w zakratowanym

oknie i usiłuje zajrzeć do wnętrza izby, czym zwraca na siebie uwagę pana Ignacego.

„Tak, to musi być Paweł” – myśli pan Ignacy.

Ale Ir jest innego zdania, zeskakuje bowiem z kanapy i z niepokojem wacha drzwi, jakby czuł kogoś obcego.

Słysząc szmer w sieniach. Jakaś ręka poszukuje klamki, nareszcie otwierają się drzwi i na progu staje ktoś odziany w wielkie futro upstrzone śniegiem i kroplami deszczu.

– Kto to? – pyta się pan Ignacy i na twarz występują mu silne rumieńce.

– Już o mnie zapomniał, stary?... – cicho i powoli odpowiada gość.

Pan Ignacy miesza się coraz bardziej. Zasadza na nos binokle, które mu spadają, potem wydobywa spod łóżka trumienkowate pudło, śpiesznie chowa gitarę i toż samo pudełko wraz z gitarą kładzie na swoim łóżku.

Tymczasem gość zdjął wielkie futro i baranią czapkę, a jednooki Ir, obwąchawszy go, poczyną kręcić ogonem, łasić się i z radosnym skomleniem przypadać mu do nóg.

Pan Ignacy zbliża się do gościa wzruszony i zgarbiony więcej niż kiedykolwiek.

– Zdaje mi się... – mówi, zacierając ręce. – Zdaje mi się, że mam przyjemność...

Potem gościa prowadzi do okna, mrugając powiekami.

– Staś... jak mi Bóg miły!...

Klepie go po wypukłej piersi, ściska za prawą i za lewą rękę, a nareszcie oparłszy na jego ostrzyżonej głowie swoją dłoń, wykonywa nią taki ruch, jakby mu chciał maść wetrzeć w okolicę ciemienia.

– Cha! Cha! Cha! – śmieje się pan Ignacy. – Staś we własnej osobie... Staś z wojny!... Cóż to, dopiero teraz przypomniałeś sobie, że masz sklep i przyjaciół? – dodaje, mocno uderzając go w łopatkę. – Niech mię diabli wezmą, jeżeli nie jesteś podobny do żołnierza albo marynarza, ale nigdy do kupca... Przez osiem miesięcy nie był w sklepie!... Co za pierś... co za łeb...

Gość także się śmiał. Objął Ignacego za szyję i po kilka razy gorąco ucałował go w oba policzki, które stary subiekt kolejno nadstawiał mu, nie oddając jednak pocałunków.

– No i cóż słysząc, stary, u ciebie? – odezwał się gość. – Wychudłeś, pobladłeś...

– Owszem, trochę nabieram ciała.

– Posiwiłeś... Jakże się masz?

– Wybornie. I w sklepie jest nieźle, trochę zwiększyły się nam obroty. W styczniu i lutym mieliśmy targu za dwadzieścia pięć tysięcy rubli... Staś kochany!... Osiem miesięcy nie było go w domu... Bagatela... Może siądziesz?

– Rozumie się – odpowiedział gość, siadając na kanapie, na której wnet umieścił się Ir i oparł mu głowę na kolanach.

Pan Ignacy przysunął sobie krzesło.

– Może co zjesz? Mam szynkę i trochę kawioru.

– Owszem.

– Może co wypijesz? Mam butelkę niezłego węgryzyna, ale tylko jeden cały kieliszek.

– Będę pił szklanką – odparł gość.

Pan Ignacy zaczął dreptać po pokoju, kolejno otwierając szafę, kuferek i stolik.

Wydobył wino i schował je na powrót, potem rozłożył na stole szynkę i kilka bułek. Ręce i powieki drżały mu i sporo czasu upłynęło, nim o tyle się uspokoił, że zgromadził na jeden punkt poprzednio wyliczone zapasy. Dopiero kieliszek wina przywrócił mu silnie zachwianą równowagę moralną.

Wokulski tymczasem jadł.

– No, cóż nowego? – rzekł spokojniejszym tonem pan Ignacy, trącając gościa w kolano.

– Domyślam się, że ci chodzi o politykę – odparł Wokulski. – Będzie pokój.

– A po cóż zbroi się Austria?

– Zbroi się za sześćdziesiąt milionów guldenów?... Chce zabrać Bośnię i Hercegowinę.

Ignacemu rozszerzyły się źrenice.

– Austria chce zabrać?... – powtórzył. – Za co?...

– Za co? – Wokulski uśmiechnął się. – Za to, że Turcja nie może jej tego zabronić.

– A cóż Anglia?

– Anglia także dostanie kompensatę.

– Na koszt Turcji?

– Rozumie się. Zawsze słabi ponoszą kosztą zatargów między silnymi.

– A sprawiedliwość? – zawołał Ignacy.

– Sprawiedliwym jest to, że silni mnożą się i rosną, a słabi giną. Inaczej świat stałby się domem inwalidów, co dopiero byłoby niesprawiedliwością.

Ignacy posunął się z krzesłem.

– I ty to mówisz, Stasiu?... Na serio, bez żartów?

Wokulski zwrócił na niego spokojne wejrzenie.

– Ja mówię – odparł. – Cóż w tym dziwnego? Czyliż to samo prawo nie stosuje się do mnie, do ciebie, do nas wszystkich?... Za dużo płakałem nad sobą, ażebym się miał rozczułać nad Turcją.

Pan Ignacy spuścił oczy i umilkł. Wokulski jadł.

– No, a jakże tobie poszło? – zapytał Rzecki już zwykłym tonem.

Wokulskiemu błysnęły oczy. Położył bułkę i oparł się o poręcz kanapy.

– Pamiętasz – rzekł – ile wzięłem pieniędzy, gdyś stąd wyjeżdżał?

– Trzydzieści tysięcy rubli, całą gotówkę.

– A jak ci się zdaje: ile przywiozłem?

– Pięćdziesiąt... ze czterdzieści tysięcy... Zgadłem?... – pytał Rzecki, niepewnie patrząc na niego.

Wokulski nalał szklankę wina i wypił ją powoli.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy rubli, z tego dużą część w złocie – rzekł dobitnie. – A ponieważ kazałem zakupić banknoty, które po zawarciu pokoju sprzedam, więc będę miał przeszło trzysta tysięcy rubli...

Rzecki pochylił się ku niemu i otworzył usta.

– Nie bój się – ciągnął Wokulski. – Grosz ten zarobiłem uczciwie, nawet ciężko, bardzo ciężko. Cały sekret polega na tym, że miałem bogatego współnika i że kontentowałem się cztery i pięć razy mniejszym zyskiem niż inni. Toteż mój kapitał ciągle wzrastający był w ciągłym ruchu. No – dodał po chwili – miałem też szalone szczęście... Jak gracz, któremu dziesięć razy z rzędu wychodzi ten sam numer w rulecie. Gruba gra?... Prawie co miesiąc stawiałem cały majątek, a co dzień życie.

– I tylko po to jeździłeś tam? – zapytał Ignacy.

Wokulski drwiąco spojrzał na niego.

– Czy chciałeś, ażebyś został tureckim Wallenrodem?...

– Naraząc się dla majątku, gdy się ma spokojny kawałek chleba!... – mruknął pan Ignacy, kiwając głową i podnosząc brwi.

Wokulski zadrżał z gniewu i zerwał się z kanapy.

– Ten spokojny chleb – mówił, zaciskając pięści – dławił mnie i dusił przez lat sześć!... Czy już nie pamiętasz, ile razy na dzień przypominano mi dwa pokolenia Minclów albo anielską dobroć mojej żony? Czy był kto z dalszych i bliższych znajomych, wyjąwszy ciebie, który by mię nie dręczył słowem, ruchem, a choćby spojrzeniem? Ileż to razy mówiono o mnie i prawie do

mnie, że karmię się z fartucha żony, że wszystko zawdzięczam pracy Minclów, a nic, ale to nic – własnej energii, choć przecie ja podźwignąłem ten kramik, zdwoilem jego dochody...

Mincle i zawsze Mincle!... Dziś niech mnie porównają z Minclami. Sam jeden przez pół roku zarobiłem dziesięć razy więcej aniżeli dwa pokolenia Minclów przez pół wieku. Na zdobycie tego, com ja zdobył pomiędzy kulą, nożem i tyfusem, tysiąc Minclów musiałoby się pocić w swoich sklepikach i szlafmycach. Teraz już wiem, ilu jestem wart Minclów, i jak mi Bóg miły, dla podobnego rezultatu drugi raz powtórzyłbym moją grę! Wolę obawiać się bankructwa i śmierci aniżeli wdziękzyć się do tych, którzy kupią u mnie parasol, albo padać do nóg tym, którzy w moim sklepie raczą zaopatrywać się w waterklozety...

– Zawsze ten sam! – szepnął Ignacy.

Wokulski ochłonał. Oparł się na ramieniu Ignacego i zaglądając mu w oczy, rzekł łagodnie:

– Nie gniewasz się, stary?

– Czego? Albo nie wiem, że wilk nie będzie pilnował baranów... Naturalnie...

– Cóż u was słychać? Powiedz mi.

– Akurat tyle, co pisałem ci w raportach. Interesa dobrze idą, towarów przybyło, a jeszcze więcej zamówień. Trzeba jednego subiekta.

– Weźmiemy dwu, sklep rozszerzymy, będzie wspaniały.

– Bagatela!

Wokulski spojrział na niego z boku i uśmiechnął się, widząc, że stary odzyskuje dobry humor.

– Ale co w mieście słychać? W sklepie, dopóki ty w nim jesteś, musi być dobrze.

– W mieście...

– Z dawnych kundmanów nie ubył kto? – przerwał mu Wokulski, coraz szybciej chodząc po pokoju.

– Nikt! Przybyli nowi.

– A... a...

Wokulski stanął, jakby wahając się. Nalał znowu szklankę wina i wypił duszkiem.

– A Łęcki kupuje u nas?...

– Częściej bierze na rachunek.

– Więc bierze... – Tu Wokulski odetchnął. – Jakże on stoi?

– Zdaje się, że to skończony bankrut i bodajże w tym roku zlicytują mu nareszcie kamienicę.

Wokulski pochylił się nad kanapą i zaczął bawić się z Irem.

– Proszę cię... A panna Łęcka nie wyszła za mąż?

– Nie.

– A nie wychodzi?..

– Bardzo wątpię. Kto dziś ożeni się z panną mającą wielkie wymagania, a żadnego posagu? Zestarzeje się, choć ładna. Naturalnie...

Wokulski wyprostował się i przeciągnął. Jego surowa twarz nabrała dziwnie rzewnego wyrazu.

– Mój kochany stary! – mówił, biorąc Ignacego za rękę. – Mój pocziwy stary przyjacielu! Ty nawet nie domyślasz się, jakim ja szczęśliwy, że cię widzę, i jeszcze w tym pokoju. Pamiętasz, ilem ja tu spędził wieczorów i nocy... jak mnie karmiłeś... jak oddawałeś mi co lepsze odzienie... Pamiętasz?..

Rzecki uważnie spojrział na niego i pomyślał, że wino musi być dobre, skoro aż tak rozwiązało usta Wokulskiemu.

Wokulski usiadł na kanapie i oparłszy głowę o ścianę, mówił jakby do siebie:

– Nie masz pojęcia, co ja wycierpiałem, oddalony od wszystkich, niepewny, czy już kogo zobaczę, tak strasznie samotny. Bo widzisz, najgorszą samotnością nie jest ta, która otacza człowieka, ale ta pustka w nim samym, kiedy z kraju nie wyniósł ani cieplejszego spojrzenia, ani serdecznego słówka, ani nawet iskry nadziei...

Pan Ignacy poruszył się na krześle z zamiarem protestu.

– Pozwól sobie przypomnieć – odezwał się – że z początku pisywałem listy bardzo życzliwe, owszem, może nawet za sentymentalne. Zraziły mnie dopiero twoje krótkie odpowiedzi.

– Alboż ja do ciebie mam żal?..

– Tym mniej możesz go mieć do innych pracowników, którzy nie znają cię tak jak ja.

Wokulski ocknął się.

– Ależ ja do żadnego z nich nie mam pretensji. Może – odrobinę – do ciebie, żeś tak mało pisał o... mieście... W dodatku bardzo często ginął „Kurier” na pocztce, robiły się luki w wiadomościach, a wtedy męczyły mnie najgorsze przeczucia.

– Z jakiej racji? Wszakże u nas nie było wojny – odparł ze zdziwieniem pan Ignacy.

– Ach tak!... Nawet dobrze bawiliście się. Pamiętam, w grudniu mieliście świetne żywe obrazy. Kto to w nich występował?...

– No, ja na takie głupstwa nie chodzę.

– To prawda. A ja tego dnia dałbym – bodaj – dziesięć tysięcy rubli, ażeby je zobaczyć. Głupstwo jeszcze większe!... Czy nie tak?...

– Zapewne... chociaż dużo tu tłomaczy samotność, nudy...

– A może tęsknota – przerwał Wokulski. – Zjadała mi ona każdą chwilę wolną od pracy, każdą godzinę odpoczynku. Nalej mi wina, Ignacy.

Wypił, zaczął znowu chodzić po pokoju i mówić przyciszonym głosem:

– Pierwszy raz spadło to na mnie w czasie przeprawy przez Dunaj trwającej od wieczora do nocy. Płynąłem sam i Cygan przewoźnik. Nie mogąc rozmawiać, przypatrywałem się okolicy. Były w tym miejscu piaszczyste brzegi, jak u nas. I drzewa podobne do naszych wierzb, wzgórza porośnięte leszczyną i kępy lasów sosnowych. Przez chwilę zdawało mi się, że jestem w kraju i że nim noc zapadnie, znowu was zobaczę. Noc zapadła, ale jednocześnie zniknęły mi z oczu brzegi. Byłem sam na ogromnej smudze wody, w której odbijały się nikle gwiazdy.

Wówczas przyszło mi na myśl, że tak daleko jestem od domu, że dziś ostatnim między mną i wami łącznikiem są tylko te gwiazdy, że w tej chwili u was może nikt nie patrzy na nie, nikt o mnie nie pamięta, nikt!... Uczułem jakby wewnętrzne rozdarcie i wtedy dopiero przekonałem się, jak głęboką mam ranę w duszy.

– Prawda, że nigdy nie interesowały mnie gwiazdy – szepnął pan Ignacy.

– Od tego dnia uległem dziwnej chorobie – mówił Wokulski. – Dopóki rozpisywałem listy, robiłem rachunki, odbierałem towary, rozsyłałem moich agentów, dopókim bodaj dźwigał i wyładowywał zepsute wozy albo czuwał nad skradającym się grabieżcą, miałem względny spokój. Ale gdym oderwał się od interesów, a nawet gdym na chwilę złożył pióro, czułem ból, jakby mi – czy ty rozumiesz, Ignacy? – jakby mi ziarno piasku wpadło do serca. Bywało, chodzę, jem, rozmawiam, myślę przytomnie, rozpatruję się w pięknej okolicy, nawet śmieję się i jestem wesół, a mimo to czuję jakieś tępe ukłucie, jakiś drobny niepokój, jakąś nieskończenie małą obawę.

Ten stan chroniczny, męczący nad wszelki wyraz, łąda okoliczność rozdmuchiwała w burzę. Drzewo znajomej formy, jakiś obdarty pagórek, kolor obłoku, przelot ptaka, nawet powiew wiatru bez żadnego zresztą powodu budził we mnie tak szaloną rozpacz, że uciekałem od ludzi. Szukałem ustroni

tak pustej, gdzie bym mógł upaść na ziemię i niepodśluchany przez nikogo, wyc z bólu jak pies.

Czasami w tej ucieczce przed samym sobą doganiała mnie noc. Wtedy spoza krzaków, zwalonych pni i rozpadlin wychodziły naprzeciw mnie jakieś szare cienie i smutnie kiwały głowami o wyblakłych oczach. A wszystkie szelsty liści, daleki turkot wozów, szmery wód zlewały się w jeden głos żałosny, który mnie pytał: „Przechodniu nasz, ach! co się z tobą stało?...”.

Ach, co się ze mną stało...

– Nic nie rozumiem – przerwał Ignacy. – Cóż to za szal?

– Co?... Tęsknota.

– Za czym?

Wokulski drgnął.

– Za czym? No... za wszystkim... za krajem...

– Dlaczegoż nie wracał?

– A cóż by mi dał powrót?... Zresztą – nie mogłem.

– Nie mogłeś? – powtórzył Ignacy.

– Nie mogłem... i basta! Nie miałem po co wracać – odparł niecierpliwie Wokulski. – Umrzeć tu czy tam, wszystko jedno... Daj mi wina – zakończył nagle, wyciągając rękę.

Rzecki spojrział w jego rozgorączkowaną twarz i odsunął butelkę.

– Daj pokój – rzekł – już i tak jesteś rozdrażniony...

– Dlatego chcę pić...

– Dlatego nie powinienes pić – przerwał Ignacy. – Za wiele mówisz... może więcej, aniżeli byś chciał – dodał z naciskiem.

Wokulski cofnął się. Zastanowił się i odparł, potrząsając głową:

– Mylisz się.

– Zaraz ci dowiodę – odpowiedział Ignacy przyciszonym głosem. – Ty nie jeździłeś tam wyłącznie dla zrobienia pieniędzy...

– Zapewne – rzekł Wokulski po namyśle.

– Bo i na co trzysta tysięcy rubli tobie, któremu wystarczało tysiąc na rok?...

– To prawda.

Rzecki zbliżył swoje usta do jego ucha.

– Jeszcze ci powiem, że pieniędzy tych nie przywiozłeś dla siebie...

– Kto wie, czyś nie zgadł.

– Zgaduję więcej, aniżeli myślisz...

Wokulski nagle roześmiał się.

– Aha, więc tak sądzisz? – zawołał. – Upewniam cię, że nic nie wiesz, stary marzycielu.

– Boję się twojej trzeźwości, pod której wpływem gadasz jak wariat. Rozumiesz mnie, Stasiu?..

Wokulski wciąż się śmiał.

– Masz rację, nie przywykłem pić i wino uderzyło mi do głowy. Ale – już zebrałem zmysły. Powiem ci tylko, że mylisz się gruntownie. A teraz, ażeby ocalić mnie od zupełnego upicia, wypij sam – za pomyślność moich zamiarów.

Ignacy nalał kieliszek i mocno ściskając rękę Wokulskiemu, rzekł:

– Za pomyślność wielkich zamiarów...

– Wielkich dla mnie, ale w rzeczywistości bardzo skromnych.

– Niech i tak będzie – mówił Ignacy. – Jestem tak stary, że mi wygodniej nic nie wiedzieć; jestem już nawet tak stary, że pragnę tylko jednej rzeczy – pięknej śmierci. Daj mi słowo, że gdy przyjdzie czas, zawiadomisz mnie...

– Tak, gdy przyjdzie czas, będziesz moim swatem.

– Już byłem i nieszczęśliwie... – rzekł Ignacy.

– Z wdową przed siedmioma laty?

– Przed piętnastoma.

– Znowu swoje. – Wokulski roześmiał się. – Zawsze ten sam!

– I tyś ten sam. Za pomyślność twoich zamiarów... Jakiegokolwiek są, wiem jedno, że muszą być godne ciebie. A teraz – milczę...

To powiedziawszy, Ignacy wypił wino, a kieliszek rzucił na ziemię. Szkło rozbiło się z brzękiem, który obudził Ira.

– Chodźmy do sklepu – rzekł Ignacy. – Bywają rozmowy, po których do-
brze jest mówić o interesach.

Wydobył ze stolika klucz i wyszli. W sieni wionął na nich mokry śnieg. Rzecki otworzył drzwi sklepu i zapalił kilka lamp.

– Co za towary! – zawołał Wokulski. – Chyba wszystko nowe?

– Prawie. Chcesz zobaczyć?... Tu jest porcelana. Zwracam ci uwagę...

– Później... Daj mi księgę.

– Dochodów?..

– Nie, dłużników.

Rzecki otworzył biurko, wydobył księgę i podsunął fotel. Wokulski usiadł i rzuciwszy okiem na listę, wyszukał w niej jedno nazwisko.

– Sto czterdzieści rubli – mówił, czytając. – No, to wcale nie dużo...

– Któż to? – zapytał Ignacy. – A... Łęcki...

– Panna Łęcka ma także otwarty kredyt... bardzo dobrze – ciągnął Wokulski, zbliżywszy twarz do księgi, jakby w niej pismo było niewyraźne. – A... a... Onegdaj wzięła portmonetkę... Trzy ruble?... To chyba za drogo...

– Wcale nie – wtrącił Ignacy. – Portmonetka doskonała, sam ją wybierałem.

– Z którychże to? – spytał niedbale Wokulski i zamknął księgę.

– Z tej gablotki. Widzisz, jakie to cacka.

– Musiała jednak dużo między nimi przerzucić... Jest podobno wymagająca...

– Wcale nie przerzucała, dlaczego miałaby przerzucać? – odparł Ignacy. – Obejrzała tę...

– Tę?...

– A chciała wziąć tę...

– Ach, tę... – szepnęła Wokulski, biorąc do ręki portmonetkę.

– Ale ja poradziłem jej inną, w tym guście...

– Wiesz co, że to jednak jest ładny wyrób.

– Tamta, którą ja wybrałem, była jeszcze ładniejsza.

– Ta bardzo mi się podoba. Wiesz... ja ją wezmę, bo moja już na nic...

– Czekaj, znajdę ci lepszą – zawołał Rzecki.

– Wszystko jedno. Pokaż inne towary, może jeszcze co mi się przyda.

– Spinki masz?... Krawat, kalosze, parasol...

– Daj mi parasol, no... i krawat. Sam wybierz. Będę dziś jedynym gościem i w dodatku zapłacę gotówką.

– Bardzo dobry zwyczaj – odparł uradowany Rzecki. Prędko wydobył krawat z szuflady i parasol z okna i podał je ze śmiechem Wokulskiemu. – Po strąceniu rabatu – dodał – jako handlujący zapłacisz siedem rubli. Pyszny parasol... Bagatela...

– To już wrócimy do ciebie – rzekł Wokulski.

– Nie obejrzysz sklepu? – spytał Ignacy.

– Ach, co mnie to ob...

– Nie obchodzi cię twój własny sklep, taki piękny sklep?... – zdziwił się Ignacy.

– Gdzież znowu, czy możesz przypuszczać... Ale jestem trochę zmęczony.

– Słusznie – odparł Rzecki. – Co racja, to racja. Więc idźmy.

Pozakręcał lampy i przepuściwszy Wokulskiego, zamknął sklep. W sieni znowu spotkał ich mokry śnieg i Paweł niosący obiad.